

Myślę, że...

Przełożył Miłosz Waligórski

Myślę, że z czasem, jak się starzeję, rzeczy stają się coraz mniej widoczne. Oczywiście, nie mówię tu tylko o prostych, w moim wieku aż zanadto widocznych, procesach fizjologicznych. Nie chcę opisywać tego banalnego, ale i smutnego zjawiska, które tak dobitnie określała moja teściowa za każdym razem, kiedy otwierała gazetę: „Duże litery przeczytam, a resztę niech sobie czyta, kto chce”. Nie chodzi mi też o staroświeckie narzekanie na nieludzki wiek komputerów, na srebrny ekran, który codziennie od 8:00 do 17:00 cynicznie wypala mi pozostałości rogówki. Mam na myśli trochę subtelniejsze procesy.

Niepokoi mnie to, że im dłużej patrzę na rzeczy, tym gorzej je widzę. Im dłużej je poznaję, tym mniej je znam. Im dokładniej tłumaczę, tym słabiej rozumiem. Im więcej mam w życiu doświadczeń, tym płycej umiem je przeżywać. Zmagam się z tym codziennie. Nikną mi sprzed oczu stół i książki, które wczoraj na nim zostawiłem, drzwi, którymi wyszedłem z mieszkania i którymi przed chwilą wróciłem, fotel: rozkładałem się na nim wieczorem, kiedy nie ma już po co wychodzić. Przytłacza mnie to, że coraz słabiej widzę tych, którzy żyją tu ze mną od lat, twarze najbliższych są coraz bardziej zamazane, ich słowa ledwie słyszę. Zbyt dobrze ich znam, wiem, jak wyglądają, kiedy są senni, wiem, jak się zachowują, gdy się denerwują, znam wyrazy ich twarzy, gdy się zachwycają. Nie muszę ich słuchać, z góry wiem, co powiedzą. Żyję oślepiiony nawarstwionymi wyobrażeniami. Między mną a rzeczywistością rozgałęziło się drzewo konstrukcji mentalnych. Szumią na nim zakurzone, obumarłe słowa. Słowa, w które przez lata ubierałem swoje myśli i emocje, i z których wytrwale tkąłem sieć porozumienia. Kiedy stoję na kazalnicy, słowa w moich ustach są przygnębiająco puste. Kiedy piszę tekst, zdania na ostrzu pióra nie mają znaczenia. Słowa mnie zdradziły. Im dłużej ich używam, tym mniej ważą. Pomagały mi nazywać świat, ale w nieoczekiwanym momencie obróciły się przeciwko mnie.

Dlatego uważam, że z czasem, jak się starzeję, rzeczy stają się coraz mniej widoczne. Wymaga to dystansu, malarz nie może malować obrazu z nosem cały czas wlepionym w płótno. Od wszystkiego można odejść i z oddalenia zobaczyć to, czego nie było widać z przesadnego bliska.

Jest tu jednak ktoś, kto jest ze mną zawsze, nie ma od niego ucieczki, dręczy mnie bez przerwy, przez całe czterdzieści dziewięć lat. Kiedy chcę się zdystansować, on dystansuje się ze mną, kiedy chcę mu uciec, on ucieka ze mną. Jest namolny, męczący, w ogóle nie daje mi spokoju, nieustannie narzuca mi swoją obecność. Ma w nosie

moją intymność, klei się do mnie, jest tak blisko, że praktycznie nie da się go ode mnie odróżnić. Mówię mu „Ja”, chociaż coraz mniej pojmuję, co chcę przez to powiedzieć. On wyznacza wszystko inne. Jest tym jedynym miejscem, z którego obserwuję świat. To nim patrzę na swój pokój, nim myślę, nim zapisuję te linijki, nim czytam, za jego pośrednictwem tworzę wszystkie swoje związki, dotykam, słyszę i widzę. On jest mną, a ja jestem nim, jak mam od niego odejść? Już tak długo na niego patrzę, tak długo go rozważam, tak długo nazywam i analizuję, że zupełnie się rozmywa, nie widzę go. A jednak tkwi we mnie jako stałe źródło mojej ślepoty.

No, ale jak odstąpić od samego siebie. Dokąd mam wyjść z siebie, w jaką uciec przestrzeń, do której wejść ciemności, w jakiej pustce się rozplynąć, by zupełnie opuścić siebie samego? W jakiej schować się modlitwie, by wrócić do momentu sprzed początku? Jaką śmierć mam ponieść, w jakim się położyć grobie, bym wrócił do siebie czysty, prosty, dalekowzroczny jak pierwszego dnia stworzenia?

„Romboid” 2008, nr 5–6.



Zdjęcie Tibor Winkler